

ONZ, czyli przekleństwo Jałty i Monachium

3 września 2011

Koncepcja międzynarodowej organizacji zajmującej się bezpieczeństwem swoich członków była w ciągu kilku ostatnich wieków szczególnie istotna dla polskiej racji stanu. Począwszy od XVIII-wiecznych idei Stanisława Leszczyńskiego, ks. Adama Czartoryskiego czy Stanisława Staszica, przez udział II Rzeczypospolitej w strukturach Ligi Narodów aż do dzisiejszej obecności w NATO i ONZ. Stan ten był w pełni uzasadniony, państwo osłabione i niezdolne do samodzielnego zapewnienia suwerenności własnemu narodowi, źródeł ochrony poszukiwać będzie w prawie międzynarodowym, w świetle którego każde państwo jest równe. W momencie założenia Organizacji Narodów Zjednoczonych, daleka była ona jednak od reprezentowania wymarzonych dla wielu okupowanych narodów w Europie ideałów równości i bezpieczeństwa.

Pomijając sam fakt skandalu, który wybuchł wokół kwestii niezaproszenia polskiej delegacji na konferencję założycielską w San Francisco, zasady na których oparto funkcjonowanie ONZ stanowiły krok wstecz w porównaniu z wilsonowskimi ideałami Ligi Narodów. Poprzedniczka ONZ za podstawę idei zbiorowego bezpieczeństwa uważała równość wszystkich narodów oraz wspólne wystąpienie członków Ligi przeciwko potencjalnemu państwu-agresorowi. Twór, który powstał w 1945 r. miał zupełnie inne koncepcje powojennego ładu. Za globalne bezpieczeństwo odpowiadać miała grupa światowych mocarstw, w tym Wielka Trójka, czyli Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Radziecki. ONZ miała być swoistym przedłużeniem wojennej koalicji antyhitlerowskiej, co było pomysłem chybionym, gdyż z momentem pokonania wspólnego wroga, było dość jasne, że wspólne ideały będą niemożliwe do utrzymania, zwłaszcza wśród tak rozbieżnych politycznie i kulturowo aktorów.

Za główną zasadę funkcjonowania Rady Bezpieczeństwa uznano konieczność jednomyślności wielkich mocarstw. Zgłoszenie weta przez jednego ze stałych członków Rady powodowało i powoduje nadal paraliż decyzyjny oraz niemożność podjęcia jakichkolwiek działań przeciw państwu-agresorowi. Wbrew zasadzie „*nemo iudex in causa sua*” stali członkowie Rady Bezpieczeństwa mogą zawetować nawet decyzję podjęcia jakiejkolwiek akcji przeciwko sobie, co zaraz po drugiej wojnie światowej prędzej zachęcało do ewentualnych agresji ze strony np. ZSRR, niż przyczyniało się do utrzymania globalnego bezpieczeństwa. System ten naturalnie nakłania również mniejsze państwa do oddawania się pod opiekę jednego ze stałych członków Rady, dzięki czemu same zyskują immunitet wobec zewnętrznych nacisków ze strony ONZ. Możliwość korzystania z takich przywilejów raczej zachęca do dokonywania agresji, niż od niej odstrasza.

Po co więc w ogóle tworzyć organizację, która działa w tak niebezpieczny i nieskuteczny sposób? Odpowiedź jest prosta. Opinia publiczna domagała się utworzenia systemu, który uniemożliwiłby raz na zawsze powtórzenie scenariusza z pierwszej połowy XX wieku. Wielkiej Trójce zależało z kolei na powołaniu instrumentu, który podtrzymywałby wspólne interesy mocarstw i utrzymywał pokój kosztem mniejszych państw. Pod płaszczykiem wzniosłych idei i pięknych haseł utworzono więc organizację, będącą niczym innym jak tworem legitymizującym dominację superpotęg w powojennym świecie.

Słowa takie jak „sprawiedliwość”, „równość” czy nawet „prawo międzynarodowe” nie figurowały w projekcie z Dumbarton Oaks. Za główny cel ONZ uznano „utrzymanie lub przywrócenie międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa”, innymi słowy – utrzymanie „*statusu quo*” z roku 1945. O samostanowieniu narodów co prawda mówiono w Karcie Atlantyckiej, lecz jej postanowienia podeptano już w Jałcie. ONZ nie ustaliła również definicji ewentualnego napastnika, ani też zasad podjęcia przeciw niemu akcji. Stała za tym argumentacja rodem z Monachium – kto powiedział, że utrzymanie pokoju musi być

dokonywane poprzez nacisk na agresora, a nie na ofiarę? W 1944 r. i 1945 r. wśród wielkich mocarstw najsilniejszą pozycję posiadał ZSRR. To właśnie Kremlowi – upokorzonemu w 1939 r. przez Ligę Narodów – zależało, by ONZ w niczym nie przypominała swojej poprzedniczki.

Ustalone zasady spowodowały sprzeciw znacznej ilości mniejszych państw, w tym Polski. Zaraz po konferencji w Dumbarton Oaks, polski rząd na uchodźstwie powołał specjalną międzyministerialną komisję w celu zaproponowania Aliantom własnych wniosków i poprawek wobec podwalin powojennego ładu. Jednym z podstawowych pomysłów było rozszerzenie głównego celu ONZ do „utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, zapewniającego wszystkim narodom możliwość życia w swych własnych granicach w wolności od strachu i niedostatku”. Postulowano również konieczność przywiązania większej uwagi do zasad Karty Atlantycznej, czyli zapewnienia integralności terytorialnej i suwerenności politycznej członkom ONZ. Oprócz tego rząd polski sprzeciwiał się zasadzie jednomyślności oraz postulował zwiększenie udziału małych państw w Radzie Bezpieczeństwa.

Choć swój sprzeciw wobec braku poszanowania ze strony Wielkiej Trójki dla innych państw zgłaszały również Australia, Belgia, Czechosłowacja, Holandia czy też Norwegia, to właśnie polskie propozycje „New York Times” uznał za „z pewnością najostrzejszą oficjalną krytykę” proponowanych struktur ONZ. Powstał zatem kolejny argument, umacniający tezę przedstawiającą londyńskich Polaków jako wiecznie niezadowolonych wichrzycieli, którym zależy na osłabieniu jedności Aliantów. Być może dzięki temu minister Eden oraz sekretarz stanu Stettinius spali spokojniej, biorąc udział w konferencji w San Francisco, na której to przedstawiciele narodu walczącego od 6 lat z tyranią i nierównością, nie mieli prawa się pojawić.

Autor: Aleksander Zawilski
Nadesłano do „Wolnych Mediów”